

04 GRUDNIA BÓG CHCE POTRZEBOWAĆ NASZEJ POMOCY

Fragment Pisma Świętego

Jest tu jeden chłopiec, który ma pięć chlebów
jęczmiennych i dwie ryby

J 6,9

W J6,1-13 widzimy niezwykłą scenę, w której Jezus karmi pięć tysięcy ludzi. Jednak zanim dojdzie do cudu, Jezus prowadzi rozmowę ze swoimi uczniami, pełną ironii i prowokacji. Kiedy pyta Filipa, skąd kupią chleba dla tak wielu, sam dobrze wie, co zamierza uczynić. Jednak nie daje uczniom gotowej odpowiedzi – prowokuje ich do myślenia, zaangażowania i działania. Jezus nie rozwiązuje problemu za nich, lecz otwiera przestrzeń, by mogli się uczyć, nawet przez błędy i wątpliwości. To pokazuje, że w Jego

pedagogice nie chodzi tylko o przekazywanie wiedzy, ale o zaproszenie do pełnego przeżycia sytuacji – emocjonalnie, duchowo i praktycznie.

Jezus w tym fragmencie nie narzuca cudownego rozwiązania od razu. Kiedy Andrzej wspomina o chłopcu z pięcioma chlebami i dwiema rybami, odpowiedź wydaje się absurdalna. Co to jest dla tylu ludzi? Jednak Jezus wykorzystuje właśnie tę małą ofiarę, aby dokonać wielkiego cudu. To uczy nas, że nasze zaangażowanie – nawet jeśli wydaje się niewystarczające – ma znaczenie. Jezus oczekuje od nas nie doskonałości, lecz gotowości, by wnieść to, co możemy. W tym fragmencie widzimy, że nie chodzi o ilość czy jakość naszych działań, ale o zaufanie i oddanie.

**Nie przekazanie
wiedzy
ale wspólne
przeżycia**

Podobny schemat widzimy w innych znakach dokonanych przez Jezusa. W Kanie Galilejskiej prosi sługi, aby napełnili stągwie wodą, mimo że to On sam zamierza przemienić wodę w wino (J2,1-11). Przy wskrzeszeniu Łazarza Jezus mówi ludziom, by odsunęli kamień z grobu, choć mógłby zrobić to sam (J11,39). W uzdrowieniu niewidomego od urodzenia nakazuje mu obmyć się w sadzawce Siloam (J9,7). We wszystkich tych przypadkach Jezus włącza ludzi w swoje dzieło. Nie czyni cudu w próżni, lecz wzywa do współpracy, podkreślając wartość ich wysiłku i zaangażowania.

Jezus nie boi się też naszych błędów. Uczniowie wciąż nie rozumieli w pełni Jego intencji – pytali, wątpili, a czasem po prostu się mylili. Mimo to Jezus ich nie odrzucał, lecz cierpliwie prowadził dalej. Tak samo dzieje się dzisiaj. Jezus nie wymaga, byśmy zawsze mieli rację, ani nie oczekuje od nas perfekcji. On zaprasza nas do wspólnego przeżycia życia w wierze, w którym błędy są częścią procesu dojrzewania.

Gesty Mszy Świętej

Procesja z darami

Pamiętam, jak każdego wieczoru w domu czekaliśmy na powrót mamy z pracy. Kilkadziesiąt minut przed jej przyjściem dostawaliśmy znak – czas przygotować kolację. Rozkładaliśmy obrus, sztucce, ustawialiśmy świece. Na stole, który przez cały dzień służył różnym codziennym sprawom, nagle

pojawiała się przestrzeń gotowa na coś szczególnego. To było więcej niż tylko nakrywanie do stołu – to była celebracja. Każdy miał swój udział, każdy coś wносił, i właśnie ta atmosfera wspólnego działania nadawała wieczornym posiłkom głębsze znaczenie.

Dziś ubolewam, że w wielu domach stół przestał być miejscem spotkania. Posiłki je się w pośpiechu, często oddzielnie. Nie ma tego momentu wspólnego przygotowania, tego gestu, który mówi: „To jest coś ważnego”. Bez tego posiłek staje się tylko czynnością – fizycznym zaspokojeniem głodu, a nie przestrzenią wspólnoty.

Procesja z darami podczas Eucharystii przypomina mi tamte chwile przygotowań w domu. Moglibyśmy przecież zacząć od razu od gotowego ołtarza – wszystko mogłoby być już ustawione. Ale wtedy coś by nam umknęło. Procesja jest zaproszeniem, byśmy sami włączyli się w przygotowanie stołu, który stanie się miejscem duchowego posiłku. Nie chodzi tylko o przeniesienie chleba i wina, ale o gest, który mówi: „Ja też jestem częścią tego, co tu się dzieje”.

Pan Jezus często spożywał posiłki ze swoimi uczniami. Nie przynosił gotowych dań z nieba – uczniowie musieli przygotować to, co mieli. Przynosili chleb, ryby, wodę – proste rzeczy, które nabierały głębszego znaczenia w obecności Jezusa. Procesja z darami przenosi mnie w tamte czasy. Wyobrażam sobie uczniów, którzy przygotowują wspólny posiłek z Panem. Nie tylko jedli, ale też przeżywali wspólnotę – rozmawiali, śmiali się, dzielili swoją codziennością.

Podobne doświadczenie mam na wyjazdach z ministrantami. Kiedy wspólnie przygotowujemy posiłki, każdy ma swoją rolę. Ktoś kroci chleb, ktoś nakrywa stół, ktoś gotuje. To, że każdy coś robi, jest ważne, ale jeszcze ważniejsza jest atmosfera, która towarzyszy tym przygotowaniom. Tworzy się wspólnota – coś więcej niż suma naszych działań. Właśnie ta wspólnota sprawia, że posiłek nabiera głębszego znaczenia.

Oczywiście, nie wszystko jest idealne. Nawet podczas wspólnych posiłków zdarzają się sytuacje, które psują tę atmosferę. Komórki kuszą ministrantów – ktoś chce sprawdzić wiadomości, ktoś inny ucieka przed czasem, zanim wszyscy skończą jeść, albo zaczyna sprzątać, bo obecność przy stole wydaje się stratą czasu. Lepiej coś robić niż po prostu być. Ale czy apostołowie byli inni? Ile razy Pan Jezus musiał uczyć ich cierpliwości, szacunku dla drugiego, może nawet podstaw kultury przy stole? W tym miejscu Mszy Świętej warto

wyobrazić sobie siebie wśród apostołów, którzy zabierają się do wspólnego posiłku z Jezusem. Przychodzą do Niego tacy, jacy są – niedoskonali, rozkojarzeni, ale gotowi usiąść przy wspólnym stole. Może to obudzi wspomnienia z czasów młodości, gdy czasem przy stole z rodziną, przyjaciółmi czy na wspólnym ognisku dzieliło się nie tylko jedzenie, ale także opowieści, plany i radość. To tam rodzi się coś więcej niż fizyczne nasycenie: duchowa więź. Pan Jezus przez takie doświadczenia mówił do apostołów – i mówi też do nas. Wystarczy, że pozwolimy Mu się zaprosić.

Słowa Mszy Świętej

Zakończenie modlitw

Podczas Mszy, gdy modłę się słowami

Ojcze nasz... Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj

patrząc na chleb na patenie. Już nie jest zwykłym chlebem – stał się Ciałem Pana Jezusa. A jednak ten chleb, tak prosty i codzienny, zawsze przypomina mi Paschę. Pascha po hebrajsku oznacza przejście. Jednak o jakie przejście tutaj chodzi?

Jezus chciał obchodzić Paschę ze swoimi uczniami

Wziął to, co znane od pokoleń: chleb, wino i baranka. Początkowo były to symbole związane z cyklami przyrody – chleb z jęczmienia, pierwszego zboża wiosny, wino jako owoc radości, baranek jako ofiara pasterzy. Później, podczas wyjścia z Egiptu, Bóg nadał im nowe znaczenie. Chleb praśny stał się znakiem pośpiechu i wyzwolenia, wino radością zbawienia, a baranek symbolem Bożej ochrony. Jezus poszedł dalej. W czasie Paschy ustanowił Eucharystię, czyniąc te znaki nie tylko pamiątką, ale rzeczywistością zbawienia.

Kiedy nadeszła godzina, aby Jezus został uwielbiony przez Ciebie, Ojcze święty, umiłowawszy swoich, którzy byli na świecie, do końca ich umiłował.

To przejście – Pascha – stało się Jego drogą: od życia, przez śmierć, do zmartwychwstania. Czas spędzony z uczniami jest czasem dojrzewania

miłości, aż dochodzi do dojrzałości i jest gotowa, by zostać zbierana - jak jęczmień z pola. Zawsze zadziwia mnie prostota tych znaków. Niczego nie wymyślono na siłę. Jezus wziął to, co ludzie mieli od zawsze, i napełnił nowym znaczeniem. Patrzę na ten chleb – to chleb powszedni, po wszystkie dni, codzienny, a jednocześnie chleb niebieski, dający życie wieczne. Wino – owoc ziemi i pracy rąk ludzkich – staje się Jego Krwią. Gdy podczas Modlitwy Eucharystycznej słyszę, że Jezus jest

naszą Paschą i naszym pokojem

widzę, jak to wszystko się łączy. Pascha była najpierw przejściem ze starego życia w nowe – zimy w wiosnę, niewoli w wolność. Teraz, przez Jezusa, staje się przejściem przez całe nasze życie z Nim. Każda Eucharystia przypomina mi, że On mnie umiłował do końca. To przejście, które On przeszedł – przez śmierć do życia – jest także moją drogą. Ilekroć patrzę na chleb na patenie, wiem, że to zaproszenie, by codziennie na nowo ufać Jemu i Jego prostym znakom, które kryją w sobie wszystko.

**Pascha
zaczyna się
gdy przechodzę
z Jezusem
przez swoją
codzienność**

Każda Pascha to nie tylko wydarzenie, ale sposób życia. Uczniowie najpierw przeżyli ją dosłownie – idąc z Jezusem przez Galileę, Judeę, aż po Jerozolimę. Tam nauczyli się, że Pascha to ciągłe przechodzenie: od lęku do zaufania, od zwątpienia do wiary, od życia do śmierci i zmartwychwstania – przejście z Jezusem przez Galileę do Judei. Po Jego odejściu kontynuowali to przejście w Eucharystii – spotykając Go w prostym chlebie i winie, które dawały im siłę, by każdego dnia stawiać kolejny krok. Jeśli chcę przeżyć Paschę, nie chodzi tylko o pół godziny spędzone w kościele, ale o towarzyszenie Jezusowi w każdej chwili mojego dnia. Trzeba przejść przez ten dzień z Nim - trzeba być "paschalnym".

Święta Teresa z Kalkuty

Dzieciństwo w Albanii

Był Wielki Tydzień. W powietrzu unosił się zapach wilgotnej ziemi i kwitnących drzew, a światło popołudniowego słońca wdzierало się przez

witraże w naszym parafialnym kościele. Przygotowania do Wigilii Paschalnej były już w toku. Byłam jedną z osób, które pomagały przy ozdabianiu ołtarza i układaniu kwiatów wokół figury zmartwychwstałego Jezusa. Kościół tętnił delikatnym ruchem – kilka kobiet szeptem rozmawiało, przynosząc kolejne świece, ministranci poprawiali długie komże, a organista ćwiczył hymn „Exsultet” w bocznej kaplicy.

Miałam osiemnaście lat i w sercu nosiłam myśl, która nie dawała mi spokoju. Od miesięcy czułam, że Bóg wzywa mnie do czegoś więcej. Podczas codziennych modlitw przed Najświętszym Sakramentem wybrzmiewało to coraz wyraźniej. Wstąpienie do zakonu wydawało mi się naturalnym krokiem – miejscem, gdzie mogłabym zakończyć swoje poszukiwania, gdzie znalazłabym wreszcie spokój i stabilizację. Moje serce wyobrażało sobie zakon jako bezpieczną przystań – miejsce, w którym mogłabym służyć Bogu w uporządkowany, cichy sposób, z dala od trudności świata.

**Życie zakonne
nie było
końcem drogi
ale początkiem
wieczystej
paschy**

Tego wieczoru, po zakończeniu przygotowań, pozostałam w kościele na Liturgii Wigilii Paschalnej. W ciemnościach rozbrzmiał głos kapłana, a mały płomień świecy zapalony od ognia przed kościołem zaczął wędrować po nawie. „Światło Chrystusa” – intonował kapłan, a wierni odpowiadali. Wpatrywałam się w płomień swojej świecy, a jej drżenie w ciemności zdawało się odzwierciedlać mój niepokój. Gdy kościół rozświetlił się światłem, zrozumiałam, że jestem jak ta świeca – trzymam w sobie światło, które chcę chronić, ale czuję, że Bóg oczekuje ode mnie czegoś więcej.

Podczas śpiewu „Exsultet” słowa o Chrystusie, który przekształca noc w dzień, poruszyły mnie do głębi. Chrystus nie przyszedł na świat, by znaleźć spokój – On przeszedł przez śmierć, by dać życie. Jego Pascha nie była końcem drogi, ale jej punktem kulminacyjnym – otwarciem na coś nowego, na nowe życie. Te myśli zaczęły mnie niepokoić. Czy zakon, który widziałam jako miejsce stabilności i odpoczynku, nie wymagał ode mnie czegoś podobnego? Czy naprawdę rozumiałam, na co się decyduję?

Gdy kapłan odczytywał fragmenty Pisma Świętego, słuchałam w skupieniu, ale to Ewangelia o pustym grobie sprawiła, że moje serce zadrżało. Kobiety, które przyszły namaścić ciało Jezusa, były przekonane, że ich

misja jest zakończona – chciały wypełnić ostatni akt miłości wobec Niego. Tymczasem pusty grób stał się dla nich wezwaniem do czegoś zupełnie nowego – do głoszenia, że Chrystus zmartwychwstał.

Po zakończeniu Liturgii klękłam przed ołtarzem i wpatrywałam się w płonący paschał. W sercu toczyła się walka. Czy rzeczywiście rozumiałam, co oznacza odpowiedzieć na Boże wezwanie? Czy zakon, który wydawał mi się końcem drogi, nie był dopiero jej początkiem? Modliłam się: „Jezu, pokaż mi, czego ode mnie chcesz. Boję się, że nie mam w sobie odwagi, by pójść dalej”. W tej ciszy poczułam, jak Bóg przemawia do mnie w moim wnętrzu. Zrozumiałam, że zakon nie będzie miejscem ucieczki, lecz miejscem przemiany – ciągłego przechodzenia przez Paschę. Moje życie w zakonie miało być drogą – przejściem od lęku do odwagi, od egoizmu do całkowitego oddania, od mojego „ja” do Jego woli.

Zrozumiałam, że wstępując do zakonu, nie „osadzę się” w jednym miejscu, ale rozpocznę drogę pełną wyzwań. Tak jak kobiety przy pustym grobie zostały wezwane do głoszenia Dobrej Nowiny, tak i ja miałam zostać posłana, by nieść światło Chrystusa innym. To nie był koniec drogi, ale początek paschy, która miała trwać całe życie. Gdy wstałam od modlitwy, moje serce było pełne pokoju, choć wiedziałam, że czeka mnie trudna droga. Spojrzałam jeszcze raz na płomień paschału i pomyślałam: „Panie, jeśli Ty jesteś światłem mojego życia, poprowadź mnie”.

Prawda zasiana w sercach

Wspólna droga prowadząca do przyjaźni

Aleksander Kamiński, Kamienie na szaniec

Fragment z "Kamieni na szaniec" Aleksandra Kamińskiego ukazuje, jak wspólne przeżycia i poświęcenie przekształcają relacje bohaterów w głęboką przyjaźń, która przygotowuje ich na największe wyzwania, w tym śmierć. To przypomina, że najważniejsze nie są same działania, lecz więzi, które budujemy w ich trakcie, oraz przemiana, jaka w nas zachodzi. W obliczu cierpienia i trudności siła wspólnoty daje nadzieję i sens życia.

Alek nie zdawał sobie sprawy z tego, jak poważnie jest ranny. Był wesoły i bardzo żywy. Ciągłe go ktoś odwiedzał z rodziny

i przyjaciół. "Wreszcie ja sam cierpię" – mówił. "Dotąd cierpieli inni. To, że mnie dotąd to mijało, było nieznośne. Teraz wszystko w porządku." Drugiego dnia po operacji nastąpiło silne pogorszenie. Gdy został sam z kimś z rodziny, wyjął małą karteczkę z modlitwą: "Kto się w opiekę odda Panu swemu..." Alek szeptał słowa psalmu, gotowy na śmierć. Wiedział, że swoją część pracy wykonał najlepiej, jak mógł.

Rudy leżał wśród przyjaciół. "Och, jak boli, ale Tadeusz, jakże przyjemnie i jak rozkosz." Opowiadali sobie o przeżyciach ostatnich dni. "Miałem na Szucha chwilę dużej satysfakcji" – mówił Rudy. "I tylko żał mi było was opuszczać." W nocy kazał Zośce położyć się obok siebie i zasnął, obejmując przyjaciela za głowę. Miał uczucie całkowitego bezpieczeństwa.

Rano rozmowa była szczerą i otwartą. Trzymanie ręki w dłoni przyjaciela dawało im radość, jakiej wcześniej nie odczuwali. "Jak szczęśliwi będziemy, gdy zamieszkamy razem, gdy pojedziemy stąd na wieś na moje wyzdrowienie." Nigdy dotąd przyjacielskie grono nie czuło się tak ze sobą mocno związane.

Ale potem przyszła prawda, której nie dopuszczali do świadomości. Stan Rudego był beznadziejny. W chwilach ulgi Rudy powtarzał: "Jak rozkosznie! Czy może być przyjemniej?" Któryś z przyjaciół zaczął deklamować wiersz: "Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei..." Rudy szeptem powtórzył jedną ze zwrotek.

Rudy i Alek umarli tego samego dnia. Śmierć ich wywarła wstrząsające wrażenie na braterskim gronie przyjaciół. Teraz, przez kontrast, byli wstrząśnięci. "Ale śmierć każdego z nich odczuwaliśmy inaczej" – wspominali. Śmierć Rudego niosła w sobie grozę piekieł. Tego zapomnieć się nie da. Tego wybaczyć nie można.

Po śmierci Rudego i Alka stan psychiczny Zośki był okropny. Stracił sprężystość, spóźniał się na spotkania, nie chciał z nikim rozmawiać. Tylko w gronie towarzyszy odzyskiwał na krótki czas pogodę. Wkrótce rodzina namówiła go, by wyjechał na wieś. Tam spisał wspomnienia o Rudym i zatytułował je: "Kamienie rzucane na szaniec".

Hania, siostra Zośki, zapytała go: "Co teraz będzie z waszą gromadą?" Zośka odpowiedział: "Absurd. Masz rację, że strata Rudego i Alka jest okropna. Ale w naszej gromadzie zachodzi ciekawe zjawisko. Ludzie dojrzewają. Tyle nowych twarzy, a każdy stara się dorównać tamtym. Ale... Rudego nikt mi już nie zastąpi."